

Konsensus waszyngtoński a procedura nadmiernego deficytu



Polska gospodarka coraz bardziej upodabnia się do gospodarek krajów latynoamerykańskich. Nie jest to przypadek. Tam są testowane pomysły MFW i Banku Światowego. A wszystko zaczęło się od przeniesienia na nasz grunt postulatów konsensusu waszyngtońskiego. Dzięki temu mamy pozory demokracji, które umacniają władzę kompradorskich elit.

Konsensus waszyngtoński to zbiór zorientowanych rynkowo zasad ustalonych przez rząd Stanów Zjednoczonych oraz zdominowane przez ten rząd międzynarodowe instytucje finansowe działające w interesie transnarodowych korporacji. Wśród głównych punktów programu transformacji ustrojowej znalazły się: prywatyzacja przedsiębiorstw państwowych, liberalizacja importu oraz zniesienie ograniczeń dostępu zagranicznych inwestorów do polskiego rynku. Po wdrożeniu tego programu bezpowrotnie utraciliśmy prawie 5 mln miejsc pracy i to w czasie, gdy na rynek pracy zaczął wchodzić wyż demograficzny z lat 80 XX wieku. Od 2000 r. (z wyjątkiem lat 2006–2007) współczynnik przyjęć do pracy utrzymuje się na poziomie o 1–3 pkt. proc. niższym od współczynnika zwolnień. Zapotrzebowanie na pracę żywą zmniejszało się głównie na skutek deindustrializacji gospodarki (udział przemysłu w wartości dodanej zmniejszył się z 45 proc. do 25 proc. w 2013 r.) oraz rosnącej kapitałochłonności inwestycji. Musieliśmy bowiem otworzyć swój rynek na produkty wielkich korporacji, więc trzeba było niszczyć wszelkimi dostępnymi sposobami to, co zbudowano w Polsce Ludowej. Najbardziej zasłużeni na tym polu działacze i politycy byli nagradzani tytułami naukowymi i lukratywnymi posadami. Obecnie piastują ważne stanowiska w biznesie oraz międzynarodowych instytucjach i organizacjach.

Napływ bezpośrednich inwestycji zagranicznych (choć niewielki w porównaniu z potencjałem gospodarczym innych krajów zaliczanych do rynków wschodzących) ułatwiał utrzymanie dodatniej dynamiki PKB, dynamizował obroty handlu zagranicznego. Płaciliśmy za to utratą suwerenności decyzyjnej, brakiem innowacyjności i silnym uzależnieniem od importu myśli technicznej. Miarą postępu technicznego był ponad dwukrotny wzrost wydajności pracy w 2013 r. w stosunku do 1995 r., miarą wyzysku – wzrost wynagrodzeń w tym okresie zaledwie o 70 proc.

Nadpodaż siły roboczej i niedostosowanie strukturalne powoduje, że koszty pracy w Polsce (7,4 euro/h) są czterokrotnie niższe od średniej w w strefie euro. Wynagrodzenia miesięczne wynoszą przeciętnie ok. 800 euro, lecz połowa zatrudnionych otrzymuje płace brutto na poziomie 500 euro. Bezrobocie na poziomie 13-16% aktywnych zawodowo oraz permanentny stan niepewności zatrudnienia dyscyplinują pracowników, toteż leżą w interesie transnarodowych korporacji, z reguły korzystających również z licznych przywilejów podatkowych. Do narzuconych przez nie warunków zatrudnienia muszą dostosować się firmy rodzime, jeśli chcą walczyć o przetrwanie.

W krajach biednych, społeczeństwo zaabsorbowane walką o przetrwanie nie dysponuje odpowiednimi środkami obrony przed niekorzystnymi dla niego reformami, zaś kompradorskie elity

zainteresowane utrzymaniem status quo uczynią wszystko w obronie swego stanu posiadania. Pisał o tym już dawno temu John Kenneth Galbraith w wydanej u nas w 1987 r. książce „Istota masowego ubóstwa”: „Społeczeństwa bogate, dysponujące odpowiednimi środkami wyrażania opinii, mając możliwość zgłaszania sprzeciwu w stosunku do państwa, mogą potępić polityczną działalność, która im nie odpowiada, mają też prawo pozbawić urzędu ludzi odpowiedzialnych za taką działalność. W takich społeczeństwach politycy i urzędnicy państwowi liczą się z opinią publiczną, postępują ostrożnie, taktownie, przywiązując znaczenie do praw jednostki uznawanych za coś oczywistego”. Mamy odpowiedź, dlaczego rządząca obecnie w Polsce koalicja PO-PSL nie musi liczyć się z opinią społeczną, dlaczego lekceważy protesty związkowców, a afery korupcyjne wycisza tak skutecznie, że po kilku dniach od ujawnienia sprawy nikt już o niej nie pamięta. Ten latynoamerykański model zarządzania państwem jest na dłuższą metę nie do pogodzenia z dyscypliną fiskalną narzuconą traktatem z Maastricht. Jak zapewnić stabilność finansów publicznych w kraju, w którym ok. 10 mln spośród 25 mln obywateli w wieku produkcyjnym zostało trwale wykluczonych z rynku pracy? Czym pobudzić efektywny popyt i zwiększyć wpływy z podatków pośrednich, jeśli 72 proc. gospodarstw domowych przyznało, że z trudnością wiąże koniec z końcem; gdy dochody szarej strefy są o 100 mld zł wyższe od dochodów budżetu państwa, a zamiast inwestycji w sferze realnej promuje się inwestycje w papiery wartościowe i spekulacje giełdowe?

Wydaje się, że wyczerpano już wszystkie proste rezerwy wzrostu dochodów i ograniczania wydatków budżetowych, a nadal brak przesłanek wyraźnego ożywienia koniunktury i wzrostu PKB. Dominuje coraz bardziej kapitałochłonny typ postępu technicznego. Innymi słowy – musimy wydawać coraz więcej na inwestycje. Np. w 1996 r. wzrost produktu krajowego brutto o 1 pkt proc. nastąpił przy wzroście nakładów inwestycyjnych o 13 proc., w 2013 r. (w cenach stałych z 1995 r.) wskaźnik ten wyniósł aż 35 proc. Ponieważ brakuje popytu, od 2008 r. dodatnie tempo wzrostu PKB to głównie efekt statystyczny, związany z poprawą salda wymiany z zagranicą. Nie dziwny się więc, że już drugi rok z rzędu spadają inwestycje. Miejmy jednak świadomość, że nie przybędzie nowych miejsc pracy, a stare będą likwidowane.

Polityka pieniężna skoncentrowana na realizacji celu inflacyjnego utrwała stagnację sfery realnej, a tym samym ogranicza dochody budżetowe. Rząd umywa ręce. Kogo obchodzi, że tzw. stabilizacyjna reguła wydatkowa zalecana przez neoliberalistów, osłabiając popyt krajowy, prowadzi do deflacji, a chłodząc zamierającą gospodarkę może wywołać jej całkowitą hibernację? Tylko tych, którzy tracą źródło utrzymania.

No i dziennikarzy. Popularny program interwencyjny, zwłaszcza w mediach głównego nurtu, daje dużą popularność i wysokie zarobki.

W nowej perspektywie budżetowej (2014–2020) utrzymanie na referencyjnym poziomie wskaźników konwergencji fiskalnej nie rokuje szans, jeśli naprawa państwa ograniczy się do działań w obszarze finansów publicznych. Niezbędne są reformy w sferze realnej. Stąd, coraz częściej pojawiają się opinie, że przyszedł już czas na odejście od postulatów konsensusu waszyngtońskiego. Szkoda, że opamiętanie przychodzi tak późno.

Grażyna Ancyparowicz

fot. T. Gutry